Cena pojedyn. numeru 30 groszy.
Należność pocztowa uiszczona ryczałtem.

Nr. 5 Warszawa, d. 17 lutego 1929 r. Rok I

PLACÓWKA

POLITYCZNA — SPOŁECZNA — GOSPODARCZA — KULTURALNA

PISMO TYGODNIOWE DLA WSZYSTKICH.

CZYTAJCIE

w dzisiejszej „PLACÓWCE"

NA PORZĄDKU DZIENNYM

Ogniowa próba

Zgłoszenie przez Blok Bezpartyjny konkretnego wniosku rewizji Konstytucji **pod względem formalnym** wypełniło obowiązek tego obozu politycznego, wzięty na siebie w wyniku przewrotu majowego. B. B. zbyt wiele mówił o brakach i o niedomaganiach ustroju państwowego Rzplitej, aby nie musiał raz wreszcie **wyraźnie oświadczyć,** jak pragnąłby ten ustrój zreformować i uzdrowić. Opinja publiczna z napiętą niecierpliwością oczekiwała w ciągu trzech prawie lat na konkretny projekt reformy Konstytucji i nareszcie projekt taki (lepiej późno, niż nigdy...) otrzymała. Formalnie więc Blok spełnił swoje zadanie: wyraził w formie praktycznej, jakich zmian pragnie...

Teraz czas na osąd opinji. Równolegle z pracami parlamentu nad projektem sanacyjnym rozwinąć się musi szeroka wymiana poglądów **niezależnej społecznej opinji politycznej.** Sami wnioskodawcy, a w ich imieniu poseł płk. Sławek — odwołali się do opinji publicznej. Wprawdzie odwołali się z określoną intencją, bo zastrzegli, że **nic w projekcie zmieniać nie pozwolą,** i tylko apelują o poparcie, ale, rzecz prosta, nie znosi to obowiązku opinji do sumiennego, rzeczowego roztrząśnięcia zgłoszonego projektu. Jest to obowiązek polskiej myśli politycznej!

Żadna konstytucja nie jest i nie może być wiecznotrwałą, niezmienną. Wraz ze zmianami życia publicznego, z wyrastaniem nowych form świadomości społecznej, z nawarstwianiem się doświadczenia państwowego — ulegają głębokim nieraz przemianom konstytucyjne formy ustrojowe. Tą drogą zachwiały się w przeszłości absolutyzmy monarchistyczne, tą drogą upadły nawet konstytucyjne monarchie na rzecz ustrojów republikańskich: zmiany zachodziły bądź drogą masowych ruchów rewolucyjnych, bądź drogą zamachów stanu jednostek, bądź wreszcie pokojową drogą parlamentarną, ale zawsze (a przynajmniej z reguły) **istotnem ich podłożem było dojrzewanie w świadomości mas obywatelskich określonej idei polityczno-ustrojowej.** Ideje te mogły być negatywne (nprz. w rewolucji francuskiej 1848 r. lub w krwawym dramacie sowieckim 1917 r.) lub pozytywne (jak nprz. w zamachu faszystowskim Mussoliniego albo w niemieckiej konstytucji weimarskiej z r. 1919), zawsze jednak podłoże przemian konstytucyjnych (za wyjątkiem absolutystycznych) leży **w procesach zbiorowej psychiki społecznej.**

Demokracja polityczna formułuje to w postaci aksjomatu ideologicznego: **wielkie i trwałe jest tylko to, co się opiera na istotnej świadomości ogółu.** Teza ta jest zgodna z panującą dziś psychologiczną teorja

„Ogniowa próba" (c. d.)

prawa, która źródłem i sankcją prawa czyni psychikę mas. Także więc i prawo konstytucyjne w organizmach demokratycznych musi czynić zadość temu warunkowi zgodności z psychiką polityczną mas.

*

Czy nasza Konstytucja 1921 r. czyni zadość temu wymogowi zbiorowej psychiki społecznej? W zasadniczych swych tezach — **niewątpliwie tak**.

Najrozmaitszemi drogami (statystyka wyborów parlamentarnych i samorządowych, prasa, rozwój życia partyjno-politycznego i t. d.) stwierdzić można, iż naprz. społeczeństwo polskie w swojej masie nie chce absolutyzmu, nie tęskni za monarchją, wysoko ceni samorząd, domaga się kontroli parlamentarnej nad rządem, wierzy w skuteczność ustroju demokratyczno-parlamentarnego i t. d. Naruszanie więc — w jawnej czy ukrytej formie — którejkolwiek z takich zasad konstytucyjnych niewątpliwie stwarzałoby **źródło stałego konfliktu między psychiką polityczną społeczeństwa i prawem** i rychlej czy później musiałoby albo doprowadzić do absolutyzmu czyli niewoli, albo — ulec zmianie.

Natomiast opinja publiczna domaga się także w Polsce **silnego rządu**. Społeczeństwo chce mieć na swoim czele sprawne, rozumne, silne władze państwowe, któreby kierowały sprawami państwa energicznie i planowo, któreby uzgadniały sprzeczności wewnętrzne pod kątem potrzeb ogólnych i dobra ogólnego. Psychika społeczna jest pod tym względem niezwykle zgodna i wyrazista.

Blok Bezpartyjny głosi, że po linji tych właśnie intuicyj masowych opracowywał swój projekt rewizji Konstytucji. Czy jednak dobrze to pojął i wykonał?...

*

Jedną z przyczyn, która spowodowała, że Konstytucja 1921 r. posiadała pewne braki, było to, iż opracowywano ją **w atmosferze niechęci** przeciw jednemu człowiekowi. Ale projekt BB ma też to do siebie, że usiłuje rozstrzygać sprawę konstytucji pod kątem widzenia tejże osoby. Wprawdzie jest to tym razem projekt „**za Piłsudskim**", ale to istoty rzeczy nie zmienia. Już zaś Macchiavelli powiedział, że prawo ustrojowe musi być tak tworzone, aby **samo w sobie gwarantowało dobrze rządy**, aby mogło zabezpieczać ład i rozwój bez zbytniego oglądania się na jednostki, które może los dać ale których może też — nie dać.

Ta maksyma realisty politycznego z czasów Renesansu powinna i dziś posiadać pewien walor. **Konstytucje winny się liczyć z narodami, jako z istotą państwa.**

*

Konstytucja 1921 r. nie uniemożliwiła w Polsce trwałego i energicznego rządu. Wszakże nic do tej chwili nie zostało zmienione w art. 45 Konstytucji, mówiącym, że Prezydent mianuje i odwołuje rząd, ani nic nie zostało zmienione w art. 58, który postanawia, że votum zwyczajnej większości Sejmu obala minstra lub rząd — a oto od maja 1926 r. niema przecie ani narad Prezydenta z leaderami klubów co do tworzenia rządów, ani częstych upadków rządu wskutek głosowań w Sejmie. I zresztą w przeciągu całego ubiegłego dziesięciolecia **rzadko kiedy rządy upadały w Sejmie**.

Jeśli zaś nawet w procesach ich tworzenia brały silniejszy i co do formy mniej właściwy udział czynniki partyj sejmowych, to znów tłumaczy się to świeżą tradycją Sejmu Ustawodawczego, którego kompetencje były bardzo rozległe, oraz ówczesnym „obyczajem" parlamentarnym, który wypaczył zdrową i słuszną normę prawa konstytucyjnego.

I tutaj dotykamy sedna sprawy. **Nie konstytucja jest w Polsce zła, ale złe są obyczaje polityczne środowiska społecznego.** W pierwszym zaś rzędzie złe jest to, że walka obozów politycznych odbywa się bez żadnego względu na dobro sprawy ogólnej.

*

Rozumiał to dobrze, o ile ze słów sądzić wolno, Marsz. Piłsudski, który wszak po przewrocie majowym wyraźnie stwierdził, że **staje do walki ze złemi obyczajami politycznemi**. Niestety, po trzech latach doświadczenia nie możemy uznać, że walka ta została... rozegrana. Zły obyczaj drażnienia się politycznego, podtrzymywania konfliktów między władzą wykonawczą i prawodawczą, tajemnic politycznych, protekcji lub mściwości politycznej i t. d., panuje nadal, co gorsza — **znacznie zyskał na wyrazistości i na jaskrawości**, przyczem celuje w nim, niestety, Blok Bezpartyjny.

Na to nic nie poradzi rewizja Konstytucji, zwłaszcza pomyślana tak właśnie, że jak gdyby świadomie kultywuje wiele warunków utrwalenia się tego „złego obyczaju". **Hasło wzmocnienia władzy wykonawczej jest dziś w Polsce na ustach wszystkich**: jest ono dawniejsze, niż rewolucja majowa a zwolenników ma przeważnie tam, gdzie BB. widzi swoich wrogów. Abstrahując już od merytorycznej oceny wniosku grupy płk. Sławka, wyrazić należy wielką obawę, czy **atmosfera ogólnopolityczna w kraju** ułatwi w tych warunkach prace nad rewizją konstytucji choćby w tych sprawach, które istotnie dojrzały w psychice społeczeństwa.

W każdym bądź razie **demokracja polityczna w Polsce weszła w okres ogniowej próby**. Napoleon pytał: zobaczymy czy Polacy godni są być narodem? Dziś trzeba będzie dać odpowiedź na pytanie:

Czy Polacy godni są być prawdziwą, żywą, wielką demokracją polityczną?...

Z. J. Chmieliński.

Sprawa rewizji Konstytucji stanowi w tej chwili przedmiot najżywszego zainteresowania opinji polskiej. W chwili obecnej nabrała ona szczególnej aktualności w związku ze zgłoszonym w Sejmie pierwszym projektem.

Pragnąc wypowiedzieć się w tej sprawie możliwie wszechstronnie — poświęcamy na ten cel znaczną część niniejszego numeru. Sądzimy, że zamiar nasz odpowie całkowicie życzeniom Czytelników.

Oczywiście nie wyczerpuje to naszego stanowiska w tak ważnej sprawie, do której jeszcze na łamach „Placówki" wracać będziemy.

Z konieczności tedy inne działy zostały w tym numerze uwzględnione w znacznie mniejszych rozmiarach.

REDAKCJA.

Władza Narodu— czy Naród we władzy?

Punktem wyjścia nad projektem zmiany Konstytucji, opracowanym i zgłoszonym do Sejmu przez rządowy klub B. B., winna się stać analiza art. 2 Konstytucji w proponowanem przez ten projekt ujęciu.

Obowiązujący art. 2 Konstytucji z 17 marca 1921 roku kładzie u podstaw ustroju państwowego Rzeczypospolitej wyraźnie wypowiedzianą zasadę suwerenności Narodu:

„Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu".

Ta zasada moralno - prawna jest fundamentem obowiązującej dotychczas w Polsce formalnie ustawy konstytucyjnej. Ona stanowi opokę, na której wznosi się gmach ustroju państwowego Rzeczypospolitej. Nic to, że gmach ten w szczegółach architektonicznych nie został szczęśliwie pomyślany i nie wytrzymał próby życia. Nic to, że gmach ten domaga się przebudowy, miejscami nawet dość gruntownej. Fundament jego jest mimo to zdrowy i mocny. Czyż na doskonałych fundamentach zły architekt nie wznosi mało solidnego i nie nadającego się do wygodnego zamieszkania gmachu?

Prawda, może ktoś zakwestjonować wartość moralną i moc prawno - polityczną tej opoki naszego ustroju państwowego? Ileż to razy słyszeliśmy, zawsze zresztą z tej samej strony, że naród polski nie dojrzał do pełnej suwerenności, że nie potrafi się samo-rządzić, że zadużo jest idjotów, że bez bata nic się nie zrobi i t. p. Ale jeżeli jest ktoś, kto tak myśli, to niech to wyraźnie powie i niech w tej płaszczyźnie podejmie i przyjmie dyskusję zasadniczą.

Nie! Tego się wyraźnie nie mówi, ale czy tak się nie układały myśli autorów projektu zmiany Konstytucji z pod znaku B. B.?

Art. 2 w projekcie tym ma brzmienie następujące:

„Źródłem władzy w Rzeczypospolitej Polskiej jest Naród. Prawem Naczelnem — Dobro Państwa".

Cytujemy według „Epoki" z dnia 7 lutego 1929 r., która ogłosiła omawiany projekt, przyczem podkreślamy, że zachowujemy dokładną pisownię w... dużych literach. W zdaniu drugiem — wszystkie wyrazy zaczynają się od dużych liter, nadając mu szczególnie uroczysty charakter.

Dobro Państwa? Tak, to jest najwyższy sprawdzian myśli i działań politycznych. Tak, to jest hasło naczelne, które wyryte jest złotemi zgłoskami na frontonie gmachu państwowego Rzeczypospolitej.

Prawo naczelne? Bądźmy ściśli. Raczej naczelne przykazanie moralno-polityczne, które bezwzględnie obowiązuje wszystkich dobrych i uczciwie myślących Polaków.

Ale jakie jest miejsce i jakie znaczenie tego nakazu w ustawie konstytucyjnej, która wszak jest prawem pozytywnem i winna zawierać tylko takie postanowienia, których treść nie rozwiewa się w giętkich i ogólnych tezach, pozbawionych realnego, prawnego znaczenia.

Ba, gdyby na tej ziemi jakiś sędzia najwyższy mógł w każdym poszczególnym wypadku orzekać w jakim kierunku iść należy, aby dobru Państwa stało się zadość, to życie byłoby niezmiernie ułatwione i wszelka konstytucja byłaby wogóle niepotrzebna. Dawniej, w niektórych państwach bywali tacy sędziowie, którym na imię było „car — samodzierżawiec" lub inaczej. Oni sami i wyłącznie sami (oczywiście przy pomocy i za wstawiennictwem klik biurokratyczno-dworskich) stanowili w każdym wypadku czego wymaga dobro państwa. Ale to już należy do dawno minionej, zamierzchłej przeszłości.

W naszych czasach wolny naród przez swych wybrańców stanowi o dobru państwa. A że ci wybrańcy mają różne pojęcia i różne poglądy na sprawy państwowe, to czyż jest dziwne albo złe? Owszem, niech się znajdzie grupa, która potrafi porwać za sobą cały naród albo przynajmniej znakomitą jego większość, a porwać może tylko potęgą swej myśli i swej wartości moralnej niczem więcej. Ale dopóki żadna grupa nie zdołała tego uczynić, pozostaje tylko mądrość recepty francuskiej: **du choc des opinions jaillit la verité** — prawda jest wynikiem zderzenia poglądów.

A skoro każdy uczciwy kierunek polityczny broni w swojem rozumieniu dobra państwa, więc jakież realne znaczenie może mieć umieszczanie w konstytucji maksymy, że „prawem naczelnem" w Polsce jest dobro Państwa?

Chyba jedno tylko: żeby ci, co dzierżą władzę, dziś ci — jutro inni, mogli powoływać się na tę maksymę, jako na normę prawną. A gdyby tak być miało, to weszlibyśmy na drogę, która prowadzi do absurdu dowolności prawnej, przekreślającego możliwość istnienia i rozwoju państwa praworządno-konstytucyjnego.

Pozostaje więc do poważnego rozstrząśnięcia zdanie pierwsze art. 2 konstytucji w projekcie B. B. „Źródłem władzy w Rzeczypospolitej Polskiej jest Naród".

Pozwalamy sobie twierdzić, że ta sentencja pozbawiona jest wszelkiego realnego znaczenia, jako nie stawiająca wyraźnie zasady zwierzchnictwa Narodu. To, że naród jest źródłem władzy, jest w Europie roku 1929 tak jasne i oczywiste, jak to, że racją istnienia państwa jest dobro jego obywateli, jako całości. Jakież może być inne źródło władzy w państwie europejskiem, w państwie cywilizowanem XX wieku?

Ale nie o to właśnie chodzi, tylko o to, do kogo należy władza zwierzchnia, kto jest suwerenem w państwie? Jeżeli naród, a tak być powinno i tak tylko w Polsce być może, to powinno to być wyraźnie w pierwszych artykułach lub we wstępie do ustawy konstytucyjnej ustalone, że władza zwierzchnia w państwie należy do narodu.

W przeciwnym bowiem razie kwestja może być otwarta, a nawet może być wyraźnie ustalone, że władza zwierzchnia należy do kogoś innego, nie do narodu, który jest przez tego innego suwerena rządzony.

To nie jest teorja, bo jesteśmy w tym względzie bogaci w doświadczenia. Nasza t. zw. mała konstytucja z 20 lutego 1919 roku, która była wyrazem pewnego skrzywienia pojęć, jakie podówczas w Polsce panowało, stanowiła wszak, że... „władzą suwerenną i ustawodawczą w państwie polskiem jest Sejm Ustawodawczy". I tak też było. Przez dwa przeszło lata suwerenem w Polsce był Sejm, chociaż źródłem władzy był niewątpliwie naród.

Otóż projekt B. B. przy takiem sformułowaniu

„Władza Narodu" (c. d.)

art. 2 może budzić domysły, że władza zwierzchnia w Polsce należeć winna do innego czynnika, na którego naród tę władzę przelewa. Do jakiego mianowicie czynnika? Do Prezydenta Rzeczypospolitej, któremu projekt nadaje bardzo szerokie uprawnienia i którego nazywa.... **„najwyższym przedstawicielem władzy w Państwie Polskiem".**

Wprawdzie „przedstawicielem", a nie „dzierżycielem", a jednak oto, co mówił dnia 6 lutego 1929 r. jeden z czołowych autorów projektu prof. Makowski na przyjęciu dla prasy sanacyjnej w Hotelu Europejskim (cytujemy według „Głosu Prawdy"):

„Cały szereg przepisów szczegółowych dąży do przeprowadzenia tej zasadniczej myśli, że pomiędzy dwoma organami państwa, jakimi są sejm i rząd, czynnikiem łączącym i koordynującym jest **osoba przedstawiająca bezpośrednio uprawnienia przelane na nią przez naród będący źródłem władzy w państwie".**

Po tych słowach domysły wyprzedzają się w pewność i ujęcie art. 2 konstytucji według projektu B. B. staje się jasne i niewątpliwe.

Krótko więc różnica między tem ujęciem a dotychczasowym stanem rzeczy jest następująca:

według Konstytucji 17 marca 1921 roku władza zwierzchnia należy do Narodu, — według projektu B. B. władza zwierzchnia należy do wybranego przez Naród w ograniczonych możliwościach Prezydenta Rzeczypospolitej.

Jan Zenor.

Naprzód czy wstecz?

Projektowany w projekcie Bloku Bezpartyjnego system wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej wiąże się logicznie z zarysem nowego ustroju, który zachowując **pozory form republikańskich** i demokracji parlamentarnej—zmierza konsekwentnie do narzucenia narodowi polskiemu takiej organizacji władz państwowych, w której wola narodu poza jednym aktem — i to wysoce ograniczonym — nowego wyboru głowy państwa, nie odgrywałaby żadnej roli.

Aby ten oryginalnie bądź co bądź pomyślany „system polski" zaaplikować zniecierpliwionemu społeczeństwu, „urabianemu" systematycznie od trzech lat na temat „kryzysu" naszej Konstytucji, ubrano go w swoiście pomyślaną szatę **ultra-demokratyzmu.** Prezydenta Rzeczypospolitej, głosi projekt — wybiera na lat 7 naród **w głosowaniu powszechnem obywateli, z pomiędzy dwóch kandydatów.** Jednego kandydata na Prezydenta Rzeczypospolitej wybierają Sejm i Senat połączone w Zgromadzeniu Narodowem w głosowaniu tajnem, bezwzględną większością głosów przy obecności conajmniej połowy ustawowej liczby członków Zgromadzenia Narodowego". Drugiego kandydata wskazuje ustępujący Prezydent Rzeczypospolitej.

W ten sposób rola Zgromadzenia Narodowego ograniczona zostaje do możności wskazania jednego kandydata, w zasadzie „konkurencyjnego" do kandydata ustępującego prezydenta. W tem „stawaniu do mety" dwu jedynie kandydatów, różną opatrzonych rekomendacją — mieści się również niepozbawione posmaku politycznego „posunięcie" przeprowadzenia **„rozgrywki"** między autorytem izb ustawodawczych z jednej, a „najwyższym przedstawicielem władzy" według nomenklatury nowego projektu — z drugiej strony. Czyjś autorytet wyjść musi z tej „rozgrywki" **nadwyrężonym.** Jeśli będzie nim autorytet ustępującego najdalej za trzy miesiące prezydenta — zło jest niewątpliwie mniejsze. Pozostaje jedynie jego strona moralna: pewnego rodzaju „niewdzięczność" narodu do osoby byłego prezydenta, względnie jedyna, pozytywna, aczkolwiek pozbawiona praktyczno-politycznego znaczenia, możność wyrażenia przez naród **niezadowolenia** z działalności rządów ustępującego prezydenta.

Gorzej przedstawiać się będzie sytuacja w wypadku, gdy tym zdezawuowanym przez plebiscyt obywateli kandydatem okaże się wybraniec Zgromadzenia Narodowego. Jakże to będzie łatwo i ileż po temu nastręczy się sposobności na terenie codziennej niemal **płaszczyzny tarć,** jakie „nowa Konstytucja" **stwarza** między władzą **wykonawczą** a przedstawicielstwem norodowem — osłabiać autorytet władzy prawodawczej, pozbawionej moralnego kredytu w narodzie, który zdyskredytował jej kandydata na najwyższy urząd w państwie. Jak pełne „twórczości" pole do rozwijania **„wątpliwości konstytucyjnych"**, zwłaszcza, gdy się nie będzie chciało z różnych praktycznych względów politycznych sięgać do jedynej konsekwencji, którą by być musiało każdorazowe w takim wypadku **rozwiązanie izb** i zarządzenie nowych wyborów.

Te wszystkie wątpliwości wydawać się mogą teoretycznie nieuzasadnione, ale żyjemy przecież w Polsce, w kraju tak niespodziewanego pomowania prawa i interpretacji Konstytucji, mamy krótkie wprawdzie, ale tak bogate i urozmaicone doświadczenia w tej dziedzinie, iż ustawodawca mający zdecydować nowe, tak śmiałe postanowienia w sprawie sposobu wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej — nie może tych okoliczności nie brać pod uwagę.

*

W dotychczasowej dyskusji w prasie codziennej, o ile dotykano zagadnienia systemu plebiscytarnego wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej, której argumenty przeciwko tej **inowacji,** stanowczo w naszych stosunkach narodowościowych i politycznych **szkodliwej** całkowicie podzielamy, zajęto stanowisko, iż szkodliwe skutki tego systemu są w projekcie znacznie **„złagodzone", właśnie przez** wprowadzenie ograniczenia o możliwości wyboru jedynie między dwoma z góry ustalonymi kandydatami.

Pozwolimy sobie wyrazić w tej materji pogląd zgoła **przeciwny.** Ograniczenie to, jako „zmniejszenie niebezpieczeństwa" wydaje nam się całkowicie **wątpliwe,** kryjące natomiast w sobie cały szereg **następstw ujemnych,** które należycie się zarysowują dopiero na tle realnego układu stosunków politycznych.

Nie ulega wątpliwości, że prawie zawsze, a przynajmniej w zasadzie, kandydat Zgromadzenia Narodowego będzie **kandydatem większości izb ustawodawczych, z wyjątkiem tej prawdopodobnie rzad-**

kiej ewentualności; gdyby ustępujący Prezydent wskazał jako kandydata tę samą osobę, która została wybrana przez Zgromadzenie Narodowe, albo zrzekł się prawa wskazania kandydata. W tym wypadku — według postanowień projektu — drugim kandydatem będzie osoba, która w Zgromadzeniu Narodowem otrzymała w ostatecznem głosowaniu największą kolejno liczbę głosów.

Zasady te, rzucone na tło realnych możliwości politycznych — nakazują się liczyć z taką sytuacją, w której decydującą rolę w wyborze kandydata Zgrom. Nar. przypaść może dość silnemu ugrupowaniu posłów i senatorów **mniejszości narodowych.** Mniejszość Zgromadzenia Narodowego, którą w danym wypadku stanowiłyby stronnictwa polskie o dążnościach bardziej umiarkowanych — stanęłaby wtedy w **sytuacji przymusowej** poparcia kandydata wskazanego przez ustępującego prezydenta. Niewątpliwie jest to rozwiązanie, dające wyjście z sytuacji, ale niepozbawione wielu cech ujemnych, sprzecznych z zasadą **wolnego wyboru** „najwyższego przedstawiciela władzy" w państwie polskiem, któremu naród — według postanowień projektu — powierza **ogrom władzy**, nieznany współcześnie nie tylko żadnemu z prezydentów republik lub konstytucyjnym monarchom, ale nawet wielu władcom „dziedzicznym" w okresie **absolutyzmu**.

Decydującym czynnikiem w tak skonstruowanej „rozgrywce" wyborczej będą walory wskazanego przez ustępującego prezydenta kandydata. Liczyć się trzeba z tym, że będzie nim bardzo często, jeżeli bodaj nie zawsze, ktoś z najbliższych współpracowników rządowych prezydenta, najprawdopodobniej **premjer** powołanego przezeń gabinetu, lub inny wybitny członek rządu. Jeżeli polityka prezydenta budziła w mniejszości Zgrom. Nar. (może bardzo znacznej) wątpliwości i sprzeciwy — zastrzeżenia te przeniosą się na osobę jego kandydata. Dla tej mniejszości i idących za jej głosem obywateli pozostają wtedy tylko dwie możliwości: albo głosować w przymusowej sytuacji na nieodpowiadającego jej kandydata, albo... **nie brać udziału w głosowaniu.**

W tych warunkach zręcznie przygotowany akt wyborów prezydenta jest aktem **sztucznym i przypadkowym,** nie mającym nic wspólnego z wielce doniosłym dla narodu aktem wolnego wyboru „najwyższego przedstawiciela władzy".

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w ten sposób nie zyska na powadze i znaczeniu **autorytet** nowego wybranego elekta, a słyszymy ciągle, że chodzi o **wzmocnienie** autorytetu Prezydenta Rzeczypospolitej.

Na te zastrzeżenia odpowiedzą nam, że interes państwa wymaga poświęcenia na ołtarzu wspólnego dobra przekonań politycznych czy interesów partyjnych. Bardzo słusznie, pod jednym warunkiem byle to „poświęcenie" nie było jednostronnie wymuszane przez zręczną grę zakulisowych intryg przez jednych z stałą szkodą innych, może nieraz, reprezentujących najżywsze odczucie spraw i interesów państwa. Niech wytwarzanie tej „przymusowej sytuacji" — jeśli już ma być — dokonywa się w świetle **jawnej i powszechnej „rozgrywki"** wszystkich obywateli, jak to ma miejsce przy plebiscytarnym systemie wyboru prezydenta w Rzeszy Niemieckiej. Tam do pierwszego aktu wyborczego stają różni kandydaci. O ile żaden z nich nie uzyska bezwzględnej większości — następuje po upływie miesiąca — drugi i ostateczny akt wyborczy, w którym decyduje względna większość oddanych głosów. Do tego drugiego aktu zgłaszani być mogą nawet całkiem nowi kandydaci. Miesięczny okres daje dosyć czasu do obliczenia szans i poczynienia takich posunięć w zgłaszaniu kandydatur czy **koncentracji głosów,** jakiej wspólne różnym stronnictwom poczucie ważności sprawy narzuca.

Temi kierując się zastrzeżeniami uważamy ideę plebiscytu bez proponowanych ograniczeń za daleko lepszą niż to, co proponuje projekt B.B., a co nawet niektórzy jego przeciwnicy uważają jako rzekome „złagodzenie niebezpieczeństw".

*

Nie oznacza to bynajmniej byśmy zasadniczo podzielali rozpowszechniany od pewnego czasu w naszej publicystyce pogląd, iż przewidziany w Konstytucji marcowej system wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej jest zły i wymaga koniecznie zmiany.

Oczywiście niema idealnego systemu wyborczego i przeciwko każdemu można wysunąć cały szereg zastrzeżeń krytycznych. Idzie jednak o system w **danych warunkach politycznych najodpowiedniejszy** i logicznie wiążący się z całością naszej budowy państwowej. Otóż w naszych warunkach, gdy szczerze i konsekwetnie stajemy na gruncie republiki demokratycznej z parlamentarnym systemem rządów — najodpowiedniejszym jest system wyboru Prezydenta Rzpltej **analogiczny** do systemu francuskiego i czechosłowackiego t. j. przez ogół posłów i senatorów, połączonych w Zgromadzenie Narodowe.

Pęd do „naprawiania" za wszelką cenę sprawia, że u nas krytycy dotychczasowego systemu wyciągają przeciwko niemu różne, swoiście zresztą spreparowane doświadczenia **obce,** lekceważąc zupełnie i pomijając całkowicie **nasze,** chociaż krótkie, ale niemniej wymowne i pouczające.

A więc mówią nam, że wybór parlamentu pada prawie zawsze na jednostki kompromisowe o kwalifikacjach przeciętnych i w ten sposób jednostki naprawdę wybitne i silne nie mają dostępu do tego urzędu. Z urny wychodzą jednem słowem osoby zaufania nie narodu, lecz zręczni politycy i t. d. i t. d.

Argumenty niewątpliwie pociągające. Przeczą im jednak poważnie, a nie tendencyjnie — zestawione **fakty.** Wielki prezydent republiki czechosłowackiej, Massaryk, niewątpliwie jeden z najwybitniejszych mężów stanu doby współczesnej tą drogą uzyskał **trzykrotny wybór** na prezydenta. We Francji, owym klasycznym kraju „przerostu" parlamentaryzmu wśród 12 prezydentów trzeciej republiki mamy osobistości tej miary co Thiers, lub z żyjących Poincarè i Millerand.

A nasze własne doświadczenie? Dwukrotnie nasz parlament powierzał urząd Naczelnika Państwa względnie Prezydenta Rzpltej Józefowi Piłsudskiemu; pozatem wola większości Zgromadzenia Narodowego obdarzała trzykrotnie zaufaniem: ś. p. Narutowicza, St. Wojciechowskiego i Ignacego Mościckiego. Który to z nich należał do kategorji graczy politycznych, intrygom parlamentarnym zawdzięczający swój wybór?

Wybrańcy parlamentu w grudniu 1922 r. ś. p. Narutowicz i St. Wojciechowski kilka tygodni przed=

„Naprzód czy wstecz?" (c. d.)

tem przepadli przy wyborach do Senatu; drugi z nich na stanowisku ministra spraw wewnętrznych raczej naraził sobie wybitnych parlamentarzystów. Ignacego Mościckiego poza ścisłym gronem ludzi wiedzy i nauki szersze koła naszych parlamentarzystów prawie nie znało.

Jaki stąd wniosek? Oto, że w naszych stosunkach politycznych stronnictwa przystępując do doniosłego aktu wyboru Prezydenta Rzpltej, właśnie dzięki swemu rozbiciu i niemożności skupienia swych głosów na osobie „tuza" politycznego — ujawniły bardzo znamienne tendencje **powoływania na ten urząd osobistości pozaparlamentarnych o kwalifikacjach nieraz bardzo odległych od polityki.**

Widzimy w tych tendencjach objaw zupełnie inny od tych ujemnych „kwalifikacyj", które są wysuwane jako argumenty przeciwko systemowi wyboru przez Zgromadzenie Narodowe. Przeciwnie nawet, w naszych specjalnie warunkach tylko tą drogą wybór tego typu osobistości jest **najprawdopodobniejszy**, natomiast zarówno przy systemie plebiscytarnym czy amerykańskim przez ad hoc powołanych elektorów, z konieczności daleko silniej zaznaczy się **wpływ organizacyj partyjnych** i ich przewódców.

Wstrzymujemy się narazie od szerszego umotywowania naszego stanowiska w kwestii tego ostatniego pomysłu, propagowanego m. in. przez grono 14 prawników, którzy wystąpili z szczegółową opinją zbiorową na temat rewizji Konstytucji, a których praca wogóle zasługuje na poważniejszą ocenę.

Zatrzymaliśmy się jedynie dłużej na pomyśle projektu B.B. i musimy stwierdzić, że tak jak w wielu innych punktach, tak przedewszystkiem w sprawie systemu wyboru Prezydenta Rzeczypospolitej, jego zamiar „naprawienia" postanowień obowiązującej Konstytucji jest całkowicie **zbędny** i dla zasadniczych tendencyj rozwojowych narodu **szkodliwy.**

K. M. Pomorski.

Zamaskowany absolutyzm

I.

Rozwój historyczny państw europejskich, a częściowo i innych dobrze zbadanych, znajdujących się poza częścią świata przez nas zamieszkałą, dostarcza nam ogromnego materjału faktycznego, będącego wyrazem doświadczenia narodów, który stanowi nieocenioną podstawę dla badań naukowych dotyczących różnych stron życia politycznego. Na podstawie tych danych uczeni wyprowadzają doniosłe wnioski o zagadnieniach ustroju państw, mające także znaczenie praktyczne. Pomimo tego, że rozwój ich historyczny, obok dużych podobieństw, przedstawia też i znaczne różnice — można jednak dojść do niektórych ważnych wniosków, dotyczących warunków niezbędnych dla normalnego życia państw.

Do wniosków takich zaliczyć można następujące twierdzenia:

1) Każdy ustrój państwowy posiada pewną logikę wewnętrzną, polegającą na tem, że z jego podstaw wypływać muszą określone konsekwencje;

2) praworządność jest niezbędną dla zdrowych stosunków w państwie, z czego wynika, że wszyscy w państwie muszą się liczyć z ustawami i im podlegać, że za każdy akt państwowy musi ktoś ponosić odpowiedzialność;

3) Że nie należy nikomu otwierać drogi do samowoli przez wystawianie go na pokusy, w nadziei, że jej się nie podda;

4) Że w państwach cywilizowanych, w których obywatele są zorganizowani w stronnictwa świadome swych celów, niepodobieństwem jest stworzyć w sposób mechaniczny, za pomocą sztucznie pomyślanych konstrukcyj ustrojowych, silnej i trwałej władzy niezależnej od społeczeństwa, władzy wiszącej jakby w powietrzu;

5) Że najpotężniejsze monarchje absolutne i pół absolutne nie wytrzymały nacisku społeczeństw, w czasach kiedy te doszły do uświadomienia sobie swych interesów;

6) Że wszelkie próby narzuconych dyktatur kończą się prędzej czy później niepowodzeniem, zarówno dla tych co je podejmują, o ile przedtem nie umrą, jak i dla tych społeczeństw, które chwilowo im podlegają; ani stan rzeczy stworzony przez Kromwela, Napoleona I, czy III, że już pominę awanturników pośledniego gatunku — nie wytrzymał próby czasu.

Są ludzie, zwłaszcza wśród narodów lekkomyślnych i intelektualnie niewyrobionych, którzy lekceważą doświadczenie historyczne, którym się zdaje, że oni właśnie unikną błędów swych poprzedników i potrafią za pomocą chytrze pomyślanych przepisów konstytucyjnych stworzyć dziś doskonałą machinę państwową, stojącą ponad społeczeństwem.

Uwagi te nasuwają się przy czytaniu projektu Konstytucji, wniesionego do Semu naszego przez klub B.B.

Odrazu rzuca się w oczy, że autorom projektu tego chodziło właściwie o utworzenie monarchji, a nie republiki; monarchji, oczywiście, nie parlamentarnej i nawet nie konstytucyjnej, ale absolutnej. Widząc jednak trudności w nawróceniu po latach 10 do ustroju typu carskiego, radzi nie radzi, przedsiębrali kroki, celem stworzenia ustroju państwowego dotychczas nie spotykanego nigdy i nigdzie na świecie.

II.

„Najwyższym przedstawicielem władzy w Państwie Polskiem jest Prezydent Rzeczypospolitej" — głosi art. II omawianego projektu. Żadna konstytucja republikańska nie zawiera takiego ustępu o prezydencie. Nie znajdujemy go nie tylko w konstytucji francuskiej, lecz także nie ma go w konstytucji Stanów Zjednoczonych A. P. Ustępu takiego niema nawet o panujących w konstytucjach monarchistycznych. Niebyło go i niema ani w konstytucji belgijskiej, ani w austrjackiej, ani nawet w pruskiej przed wojną światową.

Pozornie zdwaćby się mogło, że omawiany tu ustęp jest nic nieznaczący i niewinny. Pogląd taki

jednak byłby błędny. Istotnie, jeżeli umieszcza go się na początku tekstu konstytucji po ustępie 1, który brzmi: „Źródłem władzy w Rzeczypospolitej Polskiej jest Naród. Prawem Naczelnem Dobro Państwa" — to znaczy, że autorom rozpatrywanego tu projektu konstytucji chodziło o to, aby stwierdzić na wstępie, że Prezydent nie reprezentuje jednej z władz państwa, władzy wykonawczej, lecz że stoi on ponad wszystkiemi władzami. To też dalsze ustępy, dotyczące prezydenta faktycznie dają mu omal że nie władzę absolutną.

We wszystkich konstytucjach nawet monarchistycznych, niedopuszczających odpowiedzialności politycznej ministrów przed parlamentem, lecz uzależniających ich wyłącznie od panującego — podkreśloną jest zasada, że każdy akt monarchy musi być kontrasygnowany przez ministra. Prawda, w przedwojennej konstytucji pruskiej, przerobionej dwukrotnie samowolnie przez Fryderyka Wilhelma IV z pierwszej konstytucji z 1848 r. — **są wyjątki od tej zasady ogólnej; ale jak wyglądają one niewinnie w porównaniu z wyjątkami, znajdującymi się w omawianym tu projekcie konstytucji.**

Wedle konstytucji pruskiej kontrasygnacja ministra była zbędną przy następujących aktach rządowych króla: jeżeli były one wyrazem jedynie jego opinij, lub uczuć, ale nie zawierały żadnego zarządzenia; w zakresie tych ostatnich bez kontrasygnacyj ministrów król mógł nadawać ordery i inne odznaczenia, np. szlachectwo, również zarządzenia monarchy, jako głowy kościoła ewangielickiego, nie wymagało podpisu ministra.

W administracji wojskowej konstytucja pruska rozróżniała „rozkazy wojskowe" od „rozporządzeń wojskowych"; przez pierwsze rozumiano wszelkie zarządzenia króla jako głównodowodzącego, nap. nominacje, rozkazy w sprawach osobistych i służbowych niewymagały one kontrasygnaty ministra; do drugich zaliczano rozporządzenia, dotyczące administracji wojskowej, które wymagały dla swej prawomocności podpisu ministra wojny. Sprawa ta unormowana była później szczegółowo przez reskrypt królewski z 1861 r.

Według projektu konstytucji B. B. niewymagają kontrasygnaty prezesa ministrów i ministra od powiedniego działu administracji następujące akty prezydenta: orędzia i wszelkie akty dotyczące Sejmu i Senatu, mianowania i odwoływania prezesa ministrów i ministrów, prezesa najwyższej izby kontroli państwa, oficerów wszelkich stopni, kancelarji cywilnej, akty łaski, mianowania sędziów.

Możliwość wydawania aktów dotyczących Sejmu i Senatu, bez kontrasygnaty ministrów uzależnia te ciała ustawodawcze od prezydenta, który za czynności urzędowe nie jest odpowiedzialny (XVII). Tylko za zdradę kraju, gwałcenie konstytucji i przestępstwa karne jest on odpowiedzialny, przez uchwałę Zgromadzenia Narodowego powziętą większością trzech piątych głosów, przy obecności dwóch trzecich ustawowej liczby członków. **Tak więc prezydent, o ile nie popełni jakiejś zdrady, albo, o ile nie naruszy konstytucji, lub nie popełni czynu kryminalnego — odpowiedzialności nie podlega. Może natomiast przez lekkomyślne decyzje narazić państwo na ogromne straty i odpowiedzialności nie podlegać. Ponieważ za wymienione wyżej akty i ministrowie nie odpowiadają, więc pozostaje cała sfera działalności prezydenta, za którą nikt odpowiedzialny nie jest. Naprz. prezydent może ułaskawiać osoby sobie oddane (oczywiście pojedyńczo) skazane przez sądy za różne przestępstwa.**

Wyższość władzy prezydenta nad władzą ustawodawczą polega na: 1) możliwości wydawania aktów bez podpisów ministrów, dotyczących Sejmu i Senatu, 2) mianowania jednej trzeciej senatorów na przeciąg jednej kadencji, 3) na prawie veta względnego wobec uchwał ciał ustawodawczych, 4) decydowaniu o ważności zakwestjonowanych kandydatów.

Veto względne sformułowane jest w sposób następujący:

Prezydent może projekt ustawy, uchwalony przez Sejm i Senat, przesłać im do ponownego rozpatrzenia. „Jeżeli Sejm i Senat zwróconą ustawę ponownie uchwaloną większością absolutną ustawowej liczby posłów i senatorów, albo pomimo braku takiej większości w Senacie, za ustawą wypowie się w Sejmie większość dwu trzecich ustawowej liczby posłów, Prezydent Rzeczypospolitej stwierdzi moc ustawy i zarządzi jej ogłoszenie, chyba że zarządzi rozwiązanie Sejmu i Senatu".

Nadmienię tu jeszcze, że pomysł senatorów, mianowanych przez prezydenta na przeciąg jednej kadencji senatu, wzorowany jest na analogicznych przepisach o Radzie Państwa z konstytucji carskiej Mikołaja II.

W państwach monarchicznych panujący miał zazwyczaj prawo mianowania części członków izb wyższych, ale nominacja ta była dożywotnia, przez co pozycja takich osób była niezależna po ich powołaniu do tych ciał; w omawianym projekcie konstytucji nie poprzestano na daniu prezydentowi prawa nominacji jednej trzeciej liczby senatorów, ale, aby ich uzależnić od prezydenta ograniczono ich nominację na przeciąg jednej sesji senatu. Nie można, a przynajmniej trudno rozumieć inaczej odpowiedni ustęp projektu „Senatorowie w liczbie jednej trzeciej ustawowego składu Senatu, będą powołani na czas kadencji Senatu przez Prezydenta Rzeczypospolitej".

Jako unikat w swoim rodzaju przytoczyć należy punkt projektu dotyczący zakwestjonowanych mandatów; otóż o ich ważności decydować ma Prezydent Rzeczypospolitej.

Chcąc mieć większość sobie oddaną może polecić swemu stronnictwu zakwestjonować wybór niektórych niemiłych sobie posłów, wówczas sam będzie rozstrzygać o tem, czy mandaty ich są ważne, czy nie.

Jeżeli do uwag powyższych dodać jeszcze prawo prezydenta wydawania dekretów w sposób bardzo rozciągły, to wniosek nasuwa się z całą siłą, że w zakresie ustawodawczym ma on przewagę nad Sejmem i Senatem .

Prezydent posiada również przewagę i nad władzą sądową przez:

1) prawo powoływania sędziów bez kontrasygnaty ministra, jak również prezesa i członków **Trybunału Stanu, który w razie dokonanej przez niego zdrady, naruszenia konstytucji i przestępstwa karnego ma go sądzić;**

2) prawo łaski także bez kontrasygnaty ministra, mocą którego może darować winy ludzi sobie

„Zamaskowany absolutyzm" (c. d.)

oddanych, którym zapewni w ten sposób bezkarność;

3) prawo umorzenia postępowania sądowego przed prawomocnem rozstrzygnięciem sprawy w poszczególnych wypadkach. Prawa tego nie może tylko stosować do ministrów, postawionych w stan oskarżenia przez Sejm.

Twórcy omawianego tu projektu konstytucji zapomnieli tylko jeszcze o nadaniu prezydentowi władzy w zakresie religijno-kościelnym, wówczas zrealizowanoby pomysły prof. Kochanowskiego z B. B., wypowiadającego się za ustrojem ...teokratycznym.

III.

W państwach z systemem rządów parlamentarnych, o ile istnieje w nim głowa państwa — do niej zawsze należy powoływanie mnistrów i ich zwalnianie. Zaznacza to wyraźnie i nasza konstytucja marcowa, formalnie i dziś obowiązująca. Odpowiedzialność zaś ministrów przed Sejmem na tem tylko polega, że może on im wyrazić wotum nieufności, i wówczas muszą ustąpić. Prezydent jednak może zawsze powołać kogo pragnie do tworzenia rządu i na jego przedstawienie mianować ministrów. Jeżeli w Sejmie jest dużo stronnictw, to prezydent ma faktycznie większą swobodę ruchów w tym względzie, niż wówczas, gdy ich jest mało i gdy są zwarte.

Projekt konstytucji B.B. nie wprowadza więc nic nowego, domagając się, aby prezydent mianował ministrów.

Art. XLIII brzmi: „Rząd ponosi odpowiedzialność konstytucyjną za zgodność swej działalności z konstytucją i innemi ustawami". Jest to oczywiście odpowiedzialność sądowa.

Prócz tego ministrowie, każdy w swoim zakresie, ponoszą oddzielnie odpowiedzialność.

Art. XLIV jest wadliwie zredagowany i stać się może łatwo źródłem różnych nieporozumień. „W tym samym zakresie obowiązuje Ministrów odpowiedzialność za akty rządowe Prezydenta Rzeczypospolitej". Rozumując logicznie należałoby przypuścić, że ministrowie odpowiedzialni są nie za wszystkie akty rządowe prezydenta, lecz za te tylko, które kontrasygnują, ale to nie jest powiedziane.

O parlamentarnej odpowiedzialności ministrów czytamy:

„Jeżeli Sejm absolutną większością ustawowej liczby posłów zażąda ustąpienia Rządu lub Ministra, albo odmówi mu zaufania, Prezydent Rzeczypospolitej odwoła Rząd lub Ministra, chyba, że zarządzi rozwiązanie Sejmu".

Wniosek, żądający rozwiązania ministrów wszystkich, czy jednego, nie może być oddany pod obrady Sejmu wcześniej, niż w 7 dni po jego zgłoszeniu.

Odpowiedzialność ministrów przed parlamentem jest jedną z podstaw współczesnych państw praworządnych i demokratycznych. Doświadczenie historyczne wykazało, że odpowiedzialność konstytucyjna nie wystarcza. Projekt B. B. formalnie utrzymuje prawo Sejmu do usuwania wniosków, ale utrudnia jego wykonanie. Wszędzie bowiem, przy systemie rządów parlamentarnym ministrowie odchodzą, kiedy za wotum nieufności oświadczy się przeciwko nim większość zwykła posłów obecnych przy głosowaniu. Projekt B. B. żąda większości ustawowej. **Ponieważ nigdy prawie niema pełnego kompletu posłów, żądanie to stawia ministra na stanowisku uprzywilejowanem. Jeżeli bardzo ważne ustawy, za wyjątkiem oczywiście konstytucyjnych uchwalane są większością głosów przy obecności choćby połowy ustawowej liczby posłów, to nielogicznem, dziwnem i szkodliwem jest żądanie, aby wotum nieufności dla rządu wymagało aż większości ustawowej liczby posłów.** Twórcom projektu chodziło oczywiście o to, aby za wszelką cenę utrudnić usunięcie rządu. Naiwną jest ich wiara w nieomylność Prezydenta i rządu, a w lekkomyślność i złą wolę Sejmu.

Oczywiście zbyt łatwe obalanie rządu jest złem, z którem walczyć należy, ale można to osiągnąć na innej drodze. Nawet projekt B. B. wskazuje na jeden z nich, o którem mowa była wyżej i na który można się zgodzić.

Władza Prezydenta jest, po zapewnieniu mu prawa rozwiązywania Sejmu i Senatu, zupełnie dostateczną, veto przy istnieniu Senatu jest zbędne zupełnie, a nawet szkodliwe ponieważ zaprowadzić może w swych konsekwencjach do konfliktów nawet w łonie władzy wykonawczej pomiędzy Sejmem a rządem mającym za sobą większość.

Wówczas tylko, gdyby nie było Senatu, veto względnie Prezydenta byłoby uzasadnione, ale i wówczas należałoby je sformułować inaczej niż to robi projekt B. B.

Natomiast potrzebnym byłby u nas Trybunał Konstytucyjny, któryby stał na straży zgodności rządów z Konstytucją. Tego jednak nie chce projekt B. B., który wogóle nie dba o praworządność i posiada mistyczną wiarę w cudotwórczą rolę Prezydenta.

Tak rozległy zakres władzy Prezydenta, jaki wyznacza jej projekt B. B. stwarza grunt podatny do nadużyć władzy nietylko samego prezydenta, ale i jego podwładnych. Utrudnia on kompromisowe załatwianie spraw państwowych, które stanowi istotę ustroju konstytucyjnego, a zwłaszcza parlamentarnego. Antagonizmy polityczne rozwiązanie których nie może być dokonane w Sejmie, przenoszą się zwykle na ulicę i prowadzą do różnych aktów nielegalnych, przybierających rozmaite formy. Dla ludzi stojących na gruncie interesów państwowych i narodowych takie przeniesienie punktu ciężkości walk uważane być musi za niepożądane i groźne w swych skutkach.

Pomysły projektodawców w zakresie władzy Prezydenta kompromitują Państwo nasze przed Europą, chociaż mogą je uczynić popularnem w Sjamie i monarchjach murzyńskich w Afryce. **Nie przyczynią się też do zaufania Banków Zagranicznych względem Polski, gdyż cudzoziemcy nie są tak naiwni, aby nie zrozumieli, że ustrój proponowany przez B. B. prowadzi prostą drogą do ciągłego stanu wojny domowej, a w konsekwencji do katastrofy,**

Ludwik Kulczycki.

Piłsudczyzna? Jako grupa społeczna jest niczem i sama się tem chwali. Jako ideologja wystarczała trzem pierwszym brygadom, żeby pieczętować krwią swoje przekonania, pozatem jest mglista i ogranicza się do posłuszeństwa kiedy jest kogo słuchać. Jako skład osobowy w obecnym stanie rzeczy, dół ze względu na swoją przeszłość i swoje pochodzenie będzie ciążył ku demokracji, a na górze, na jednego, który siedział w okopach, jest dziewięciu takich, którzyby radzi siedzieli przy każdym suto zastawionym stole. **St. Thugutt.**

(„Robotnik", 14.II-1929).

Fikcja parlamentaryzmu

W czasach obecnych, w których proces demokratyzacji narodów odbywa się tak szybko — nawet jednostki i stronnictwa, mające tendencje absolutystyczne, muszą się starać o to, aby je możliwie maskować i pozornie przynajmniej iść za prądem ogólnym.

Widzimy to w projekcie konstytucji, złożonym przez B. B.

W art. I czytamy: „Żródłem władzy w Rzeczypospolitej Polskiej jest Naród. Prawem Naczelnem— Dobro Państwa". Zdawałoby się więc, że skoro władza czerpie swe pełnomocnictwa od narodu, to ciała reprezentacyjne posiadać będą szeroki zakres działania na terenie właściwym, a więc w zakresie ustawodawczym, oraz w dziedzinie kontroli nad administracją.

W rzeczywistości jednak, jak zobaczymy niebawem, omawiany tu projekt konstytucji do tego wcale nie dąży, a nawet ujawnia wprost przeciwne tendencje: olbrzymią władzę nadaje bowiem Prezydentowi, również wybrańcowi narodu, ciałom zaś ustawodawczym pozostawia stosunkowo niedużo, dążąc do możliwie daleko idącego ich ograniczenia.

Pozostawiam na boku udział Prezydenta we władzy ustawodawczej, gdyż inne pióro przedmiot ten omawia w „Placówce"; rozpatrzę tylko te punkty projektu w odniesieniu do Sejmu i Senatu, które dotyczą jedynie tych ciał.

*

W ordynacji wyborczej projekt B. B. zmian zasadniczych nie wprowadza, ma on pozostać i nadal tym jakim jest obecnie, to znaczy sześcioprzymiotnikowym.

A więc wybory mają być powszechne, równe, bezpośrednie, tajne, proporcjonalne z udziałem mężczyzn i kobiet. Pod tym względem niepodobna nic zarzucić projektowi; szczerze czy nie pozostawił on obowiązujący dziś system wyborczy; twórcy jego boją się słusznie rozdrażnienia mas i chcą zachować pozory demokratyzmu. Zachowując jednak ten system w jego istocie możnaby go ulepszyć n. p. w kierunku t. zw. systemu badeńskiego. Polega on na tem, że nie ma stałej liczby posłów, lecz że zależy ona każdorazowo od ilości głosujących; w ten sposób okręgi wyborcze bardziej aktywne, posiadające więcej dbałych o dobro publiczne i więcej uświadomionych obywateli — wysyłałyby więcej posłów od okręgów, których mieszkańcy przymioty te posiadają w stopniu mniejszym.

*

Projekt B. B. wprowadza natomiast dwie inowacje: podnosi cenzus wieku dla wyborców z 21 na 24 lata, a dla posłów z 25 na 30, oraz dopuszcza do głosowania podoficerów i oficerów, żołnierze bowiem w czasie pokoju w 24 roku w wojsku nie służą.

Dotychczas tak zwana sanacja, parlamentarnym wyrazem której jest B. B. zwalczała niby wprowadzenie polityki do wojska; z tego względu chciała sprawy wojskowe wyłączyć o ile możności z dziedziny parlamentarnej, domagała się bezpośredniej zależności wojska od Prezydenta, albo od generalnego inspektora armji. któryby nie zależał od ministra spraw wojskowych. Wszystko to oczywiście nie było szczere, chodziło tu bowiem nie o żadne zasady, ale o sprawy personalne o przeciwstawienie jednych osób innym, o zdobycie wojska dla „swego wodza". Obecnie, kiedy to już się stało przynajmniej formalnie — sanacji chodzi o rozporządzanie przy wyborach głosami podoficerów i oficerów. Chociaż wybory są tajne, zawsze jednak ludzie są bojaźliwi, co zresztą łatwo wytłomaczyć wobec ciągłych zmian personalnych w wojsku. Podczas wyborów ostatnich wywierano presję na urzędników, o wiele łatwiej wywrzeć ją na wojskowych.

Niezależnie od tego motywu — pozostaje wzgląd zasadniczy, w imię którego w Polsce zgodnie z tendencjami wszystkich współczesnych państw usunięto wojskowych od czynnego udziału w wyborach. W imię czego tedy i w tej — zdawało się do niedawna bezspornej dziedzinie, ma się „naprawiać" istniejącą Konstytucję?

*

Aby utrudnić inicjatywę posłów w zakresie ustawodawczym, projekt w art. XLIII domaga się, aby wnioski poselskie, zawierające projekty ustaw podpisane były przez jedną szóstą ustawowej liczby posłów, to znaczy aż przez 74 posłów. Warunek ten utrudnia inicjatywę ustawodawczą posłów, gdyż wymaga współdziałania dwu albo kilku klubów, co nie zawsze jest łatwem. Obecnie n. p. tylko klub B. B. mógłby sam bez uciekania się do pomocy klubów innych występować z projektami ustaw.

Art. XXXII ogranicza poważnie kontrolę administracji przez Sejm, wymagając, aby pod interpelacjami podpisana była jedna piąta ustawowej liczby posłów, to znaczy 85 posłów.

Projekt konstytucji B. B. pozostawia Prezydentowi mianowanie Prezesa Najwyższej Izby Kontroli Państwa. Niezależnie od tego art. LIII ogranicza prawa Sejmu w stosunku do tej instytucji, uzależniając usuwanie jej członków od większości trzech piątych przy obecności dwóch trzecich liczby ustawowej członków Sejmu. Dotychczas wystarczało trzy piąte obecnych posłów. Chodzi tu oczywiście o utrudnienie kontroli polityki finansowej rządu, o utrudnienie Sejmowi usunięcia zbyt powolnych wobec ministrów członków Najwyższej Izby Kontroli Państwa.

Dziwną jest rzeczą natomiast, że projekt sanacji, zwalczającej niby nadużycia nie rozszerzył praw N. I. K. P., pozwalając jej, w razie wykrycia nadużyć zwracać się bezpośrednio do sądów, a nie do odpowiednich ministrów.

*

Projekt Konstytucji B. B. zawiera też krępujące ciała ustawodawcze normy, dotyczące terminów uchwalania budżetu. Oczywiście, jest rzeczą pożądaną, a nawet konieczną, aby budżet uchwalony był w czasie właściwym, ale nie należy popadać w tym względzie w przesadę. Nasz budżet jest duży i dochodzi prawie do 3 miljardów złotych, zawiera więc sumy poważne, ocena wysokości rozmaitych wydatków niezbędnych wymaga czasu, jeżeli nie ma być tylko formalnością. Wprawdzie w komisjach sejmowych zjawiają się czasami wnioski naiwne, niepraktyczne i demagogiczne; równocześnie jednak występują głosy rzeczowe, zdradzające gruntowną znajomość spraw gospodarczych i finansowych, głosy, których trafność została następnie stwierdzona. Nie mo-

„Fikcja parlamentaryzmu" (c. d.)

żna więc traktować pracy w komisjach i w Sejmie w zakresie budżetu jako koniecznego zła, które należy ograniczyć do minimum. Zresztą ograniczenie wprowadzone nowelą konstytucyjną z 2 sierpnia 1926 r. jest aż nadto wystarczające i daje w praktyce jaknajlepsze wyniki, — pocóż więc wprowadzać dalsze, któreby w wyniku doprowadzić musiało prace budżetowe Sejmu do czczej formalności?

*

O Senacie pozostaje niewiele do powiedzenia. Oprócz niefortunnego pomysłu wprowadzenia senatorów z nominacji, zwrócić należy uwagę na sformułowanie praw Senatu w zakresie ustawodawczym.

Art. LI w ustępie trzecim i czwartym, omawiając losy wniosków przesłanych przez Sejm Senatowi brzmi: „Senat może w ciągu dni trzydziestu zwrócić projekt Sejmowi wraz z uchwałą Senatu, odrzucającą projekt w całości lub zawierającą proponowane zmiany.

Jeżeli Senat powyższych terminów nie zachowa, albo jeżeli Sejm po odrzuceniu zwróconego przez Senat projektu, większością trzech piątych uchwali odrzucony projekt ponownie, albo odrzuci proponowane przez Senat zmiany, albo też zwykłą większością przyjmie proponowane zmiany, Marszałek Sejmu przesyła projekt ustawy Prezydentowi Rzeczypospolitej jako konstytucyjnie uchwalony".

Oznacza to, że w projekcie B. B. zamiast jedenastu dwudziestych wymaga się trzy piąte głosów w Sejmie dla zneutralizowania veta Senatu.

Można być zwolennikiem, albo przeciwnikiem systemu dwuizbowego, skoro jednak obok Sejmu istnieje Senat, to rzeczą jest słuszną dać mu jakieś prawa rzeczywiste. Dlatego też, o ile system dwuizbowy utrzyma się u nas, projekt B. B. oznacza pewną poprawę w zakresie tego systemu.

Charakterystycznem jest jednak, że twórcy tego projektu nie zdobyli się na jasne stanowisko wobec spornej sprawy dotyczącej odrzucenia projektów ustawodawczych Sejmu i zmian w nich przeprowadzonych. Wiadomo wszystkim, że z tego powodu pomiędzy naszemi ciałami ustawodawczemi powstał przed laty zatarg.

Senat stał na tem stanowisku, że odrzucenie wniosków Sejmu jest czemś innem od zmian w nich przeprowadzonych. Tekst Konstytucji marcowej 1921 r. używał tych dwu terminów, ale dawał w wypadku odrzucenia czy zmian dotyczących projektów Sejmu jedno rozwiązanie. Sejm stanął w myśl wywodów posła Liebermana na tem wątpliwem zresztą stanowisku, że odrzucenie wniosku jest maksimum przeprowadzonych w nim zmian. Nie wchodząc tu w meritum sprawy zaznaczę tylko, że ustawy konstytucyjne powinny być jasno, a nie dwuznacznie sformułowane. Projektodawcy powinni byli w cytowanym wyżej artykule rzecz tę rozstrzygnąć: albo zrobić rozróżnienie pomiędzy odrzuceniem a poprawkami i oznaczyć inną większość dla obu tych wypadków przy powrocie projektu ustawy z Senatu do Sejmu dla jego uchwalenia, albo wyraźnie zaznaczyć, że uznają tylko zmiany identyfikując je z odrzuceniem i pozostawić jedno wyjście dla obu wypadków. Nasi projektodawcy jednak w subtelności te woleli nie wchodzić i poprzestać tylko na zmianie kwalifikowanej większości.

*

Ogólna tendencja projektu B. B. polega na tem, aby z jednej strony dać **szeroką demokratyczną podstawę wyborczą,** celem pozyskania mas, z drugiej zaś możliwie utrudnić czynności ciał ustawodawczych, celem **zdyskredytowania** ich wobec ludności, a to dla tem mocniejszego utrwalenia proponowanego ustroju, będącego **zamaskowanym absolutyzmem. Radykalny Sejm przy władzy autokratycznej.**

Gdyby ten projekt konstytucji stał się konstytucją, to mielibyśmy obraz następujący: Sejm skrępowany, ograniczony w zakresie inicjatywy ustawodawczej i kontroli nad administracją, doprowadzony raczej do roli **ciała doradczego** niż ustawodawczego i samodzielnego, Sejm będący igraszką w rękach Prezydenta w warunkach takich zdyskredytowałby się wśród obywateli; wraz z nim zdyskredytowałyby się i stronnictwa polityczne wysyłające do niego swych przedstawicieli. Osłabienie stronnictw politycznych wychodzi zawsze na dobre **despotyzmowi,** któryby się też utrwalił.

A. Bądkowski.

Nadciągająca burza

Po dłuższej zwłoce plenum Sejmu załatwiło wreszcie zgłoszony jeszcze w dniu 23 listopada r. ub. wniosek 5 klubów w sprawie zabezpieczenia pokoju. Wniosek ten sprowokowany został przebiegiem dyskusji, toczonej w Reichstagu niemieckim w związku z głośną sprawą budowy krążownika. W dyskusji tej główne zainteresowanie skierowane było w stronę Polski i jej rzekomych zaborczych zamiarów wobec Prus Wschodnich.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że mamy tu do czynienia z planowo obmyśloną akcją wysunięcia na porządek dzienny polityki międzynarodowej zagadnienia rewizji granic, akcją, w której między poszczególnymi odłamami opinji niemieckiej i rządem istnieje znakomity podział ról. Akcja ta nabiera szczególniejszego znaczenia na tle toczących się obecnie rokowań co do wcześniejszego usunięcia okupacji Nadrenji. Jakiem będzie stanowisko Niemiec, gdy zostaną usunięte te ostatnie „rękojmie wykonania" traktatu pokojowego, jakie narzucono im w Wersalu? O to co budzić musi najwyższy niepokój w Polsce i wśród tych wszystkich na Zachodzie, którzy śledzą bliżej problem stosunków polsko - niemieckich.

Dlatego dobrze się stało, że Sejm polski zabrał w tej sprawie głos. Opinja całego kraju solidaryzuje się z apelem sprawozdawcy sejmowego, w którym zostało stwierdzone, że „nam, którzy mamy doświadczenia w tej części Europy od stuleci nie wolno być głuchymi i nie wolno być ślepymi. Tutaj gromadzi się i nadciąga burza. Nadciąga burza przeciwko odzyskanej niepodegłości polskiej na dzisiejszym jej obszarze, nadciąga burza przeciwko pokojowi Europy, okupionemu niezmiernemi ofiarami wojny

MOŻE TAK — MOŻE NIE...

Kwiatki p. Marszałka

Na dziesięciolecie parlamentaryzmu polskiego (pożal się, Boże!) p. Marszałek Senatu prof. Szymański kropnął mowę która niechybnie przejdzie do historji, jako dokument epoki, w jakiej żyjemy. Warto tu przytoczyć kilka kwiatków wylewności słownej p. Marszałka Szymańskiego, a więc:

„Radość życia jest w Polsce powszechna"... Czy nie przez umyślnie spreparowane szkła powiększające oryginalnego pomysłu znakomitego profesora okulistyki?

Wszystkiemu złu w Polsce „przedmajowej" winni są „nieodpowiedzialni posłowie, ponoszący tylko 1/444 część odpowiedzialności" Dotychczas sądziliśmy, że posłowie są politycznie odpowiedzialni przed swoimi wyborcami, a więc przed narodem. Ale przypuśćmy, a w takim razie na czem polega owa 1/444 część odpowiedzialności?

„Senat odpowiada niejako hamującym ośrodkom mózgu"... Taki Senat, jak obecnie, trudno wogóle uznać za jakiś ośrodek mózgu.

„Ustrój parlamentarny spotykamy we Francji, Anglji i Stanach Zjednoczonych". A myśmy się uczyli, że Stany Zjednoczone mają ustrój prezydencki i że samo istnienie parlamentu w jakimś kraju jeszcze nie stanowi o ustroju parlamentarnym, bo parlament miała nawet dawna carska Rosja. a jednak daleko jej było do ustroju parlamentarnego.

„Najwięcej cierpi z powodu niedokładności konstytucji Francja", bo tam rządy zbyt często się zmieniają: 53 gabinety za czasów III Republiki. A jednak Francja jest potęgą, mimo tych niedokładności i napewno współczucia konstytucyjnego nie potrzebuje.

I t. d., i t. d.

Łódzki Głos „Prawdy"

Głos o projekcie konstytucyjnym B. B. Głos niesłychany, rąbiący prosto z mostu, że Sejm może uchwalić ten projekt albo i nie,ale niech wie, że projekt ten i tak stanie się prawem: ani jeden przecinek nie będzie z niego uroniony!

Głos ten dlatego zwraca uwagę, że „konserwa", łódzka w organie swym pisze z niesłychaną pewnością siebie. a równocześnie przychodzą na myśl słowa p. p. pułk. Sławka, który na przyjęciu prasowem w Hotelu Europejskim oświadczył, że z projektu konstytucyjnego sanacja nie pozwoli „utracić ani przecinka".

Ponieważ wynurzeń tych nie można różnie rozumieć, a o przecinek nie warto wszczynać sporów, przeto trzeba zapytać, czy w tych warunkach warto wogóle przeprowadzać jakąś dyskusję konstytucyjną w publicystyce. Chyba nie, a może — tak?...

Zabezpieczenie ciągłości

W swej mowie jubileuszowej Marszałek Senatu prof. Szymański stwierdził że „prawidłowa praca gabinetów w czasie pomajowym polegała na przemożnym autorytecie Marszałka Piłsudskiego". I raz dalej: „Zabezpieczenie ciągłości działalności rządu na przyszłość wyłoni się z naprawy naszej Konstytucji".

Pan Marszałek się wygadał...

Dwa czynniki

W jednym z artykułów wstępnych „Głosu Prawdy," stwierdza organ inteligencji sanacyjnej, że w Polsce są tylko dwa czynniki: Naród i Piłsudski.

Szkoda, że nie powiedział wyraźnie, który z tych dwuch czynników jest ważniejszy...

Z dokumentów epoki

Samochód „podniesie"....

Sądownicy w Okręgu Warszawskiego Sądu Apelacyjnego otrzymali orędzie, które w skróceniu podajemy bez komentarzy.

Warszawa, 3/1 — 1929.

Do Sz. Kolegów Prezesów Sądów Okręgowych i Prokuratorów Okr. w Apel. Warsz

W sprawie pożegnania Prezesa Leona Supińskiego uprzejmie powiadamiamy Sz. Kolegów, że ostatecznie zdecydowano aby pożegnać go przez ofiarowanie adresu i upominka...

...Jaki będzie ten upominek, trudno obecnie ustalić, gdyż zależy to od zebranych funduszów. Projekty idą tak daleko, że może uda się kupić reprezentacyjny samochód, przez co wszyscy przyczynilibyśmy się do **podniesienia stanowiska** (podkreśl. redakcji) **p. Supińskiego, jako obecnego reprezentanta wymiaru sprawiedliwości.**

Może się to uda, bo chociaż sędziowie i prokuratorzy **złożą** się minimalnie po 5 zł., urzędnicy po 50 gr., to już rejenci i komornicy **zapewne złożą znacznie więcej...**

Podpisano:

Feliks Dutkiewicz
Tad. Kamieński
Kazimierz Rudnicki.

„Tak zwaną"...

Wiadomo powszechnie, że jedną ze szlachetnych zalet, zarówno zagranicznych jak i naszych krajowych, wyrobów wyskokowych jest iż pod ich wpływem, każda, nawet najbardziej sanacyjna, dusza wzbiera przypływem serdecznej szczerości, — zazwyczaj skrzętnie i głęboko tłamszonej.

Mówią, że po oszałamiającym wprost tryumfie p. Cara nad rozpasanem partyjnictwem sejmowem (wiernych — sztuk 98) grono najbliższych podwładnych dostojników postanowiło „oblać" to zwycięstwo.

W pewnym zacisznym lokaliku zebrało się dygnitarzy osób coś kilkoro, a sam vice - Car zagajał tam gwar.

Radośnie było... Toastowo... Za to.. za tamto..., a najgłośniej zabrzmiało: za **„tak zwaną"** niezawisłość sądownictwa...

I niewiadomo czemu umilkły nagle gwary, skwaśniały humory a speszony vice szepnął do szefa: Trzeba być dyrektorem departamentu, aby takie rzeczy mówić głośno...

Słusznie. To się robi, tego się nie mówi.

„Odmładzanie" sądownictwa

Jeden z dzienników warszawskich w korespondencji z Krakowa pisze:

W sądach wre. W Wyższym Sądzie Krajowym wakują 4 etaty. Ogólnie oczekiwano iż nominacje na etaty otrzymają czterej starsi i wybitni sędziowie: dwu z nich powołanych już zostało prowizorycznie do pełnienia tych funkcyj. Tymczasem nowy minister sprawiedliwości postanowił odmłodzić sądownictwo: na razie mianował tylko 2 sędziów i to obydwu z młodszych. Sędzia dr. Frączkiewicz ma niewątpliwie kwalifikacje i przeciw tej nominacji młodszego kolegi niema w kołach sędziowskich poważniejszych zastrzeżeń. Drugim wybrańcem pana ministra Cara jest p. sędzia Parylewicz z Nowego Sącza. W normalnych warunkach kandydatura ta wogóle nie byłaby brana w rachubę. Przy dzisiejszym systemie p. Parylewicz pokonał innych. Złośliwi twierdzą, iż jeśli do fachowych kwalifikacyj p. Parylewicza dodać fakt, iż jest on szwagrem p. puł. Pierackiego, do niedawna posła BB., a obecnie II zastępcy szefa Sztabu gener., to razem stanowi to taką potęgę, iż oprzeć się nie mógł nawet... potężny p. Car.

MÓWI SIĘ TU I OWDZIE...

...że autorem projektu Konstytucji B. B jest sam Marszałek Piłsudski. Jest to oczywiście zwyczajna kaczusia puszczona na mętne wody sejmowe, a poparta rzekomo tem, że pułk. Sławek zapowiedział z góry, iż ani jednego słowa w nietykalnym i świętym tekście zmienić nie wolno.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że głównym autorem projektu jest sam p. Minister Car, który dla zupełnej swej chwały pozbył się też swego „wiceministra" Meysztowicza.

Dzisiaj też przypomnieć warto, że jeszcze w lecie ub. roku, p. Car jeździł z projektem Konstytucji do bawiących w Marjenbadzie, p. premjera Bartla i b. ministra sprawiedliwości, który podobno już wówczas ostro się sprzeciwiał niektórym tezom nowego ustroju.

Oto cenne przyczynki do genezy wiekopomnego projektu.

Wymieniają też nazwiska głównych współautorów, mają nimi być: pułk. Sławek, pułk. Koc i kap. Birkenmajer.

Nie można się więc dziwić, że przy wybitnem współdziałaniu sił wojskowych— armja otrzymała też czynne prawo wyborcze...

*

* *

...o dość oryginalnych konferencjach, które p. minister Car odbył w czasie zbliżającej się przebudowy Konstytucji.

Przyjął więc na bardzo intymnych audjencjach kilku wybitnych polityków i publicystów obozu narodowego (endeckiego), unikając przytem posłów obecnej Izby, i tłumaczył im, gęsto powołując się na tezy Dmowskiego, Popławskiego, St. Grabskiego et tutti quanti, że przecie obecna zmiana Konstytucji jest tylko ucieleśnieniem dawnych projektów wszechpolskich.

Za kilka zaś, lub kilkanaście lat, gdy zmienią się w Polsce stosunki — to oni (endecy) przychodząc do władzy dostaną w ręce tę konstytucję jak znalazł...

Argumentacja istotnie zadziwiająca swą trafnością! Podobno też silnie podziałała na dopuszczonych do łaski interlokutorów...

*

* *

...że stanowisko wojewody śląskiego p. Grażyńskiego mocno zachwiane i to niezależnie od pozornego w danej chwili „sukcesu", jakim jest rozwiązanie na jego wniosek Sejmu Śląskiego. Być może, że p. wojewodzie wypadnie jeszcze przeprowadzić wybory, ale wogóle wyrok jakoby zapadł już nieodwołalnie, że ma odejść. Powodem mają być dość indywidualne i nie liczące się ze wskazówkami z góry kroki p. wojewody na politycznym terenie śląskim.

Bardzo oryginalna jest przytem metoda usunięcia p. wojewody, raz już z całkowitem powodzeniem zastosowana przy p. Darowskim: oto pewne osoby umundurowane otrzymały polecenie, ażeby zgromadzić materjały „obciążające" p. wojewodę; i to zgromadzić w przeciągu tylu a tylu tygodni.

Potem ci „domini canes" otrzymać mają (jak w Krakowie) wysokie i lukratywne stanowiska a wojewoda...

*

* *

...że jeden z najbardziej znanych prokuratorów wojskowych w stolicy wpadł w dziwny rodzaj melancholji i przebywa w zakładzie dla nerwowo chorych.

Pierwszy atak padł na p. prokuratora w dwa dni po smutnym wypadku gen. woj. korpusu sądowego Bronisława Sikorskiego, który — jak wiadomo — troszkę wypadł z tramwaju. Pułk. prokuratora przeniesiono do zakładu w stanie dość opłakanym: dostał on spazmatycznego ataku płaczu i tak płacze do dziś szereg już dni...

Dziwna rzecz nad czem może płakać taki wojskowy prokurator?...

Figaro.

HUMOR POLITYCZNY

„POWRÓT TATY"

Projekt zmiany Konstytucji opracowany przez B. B. jest wśród polityków kawiarnianych najczęstszym [illegible] tematem rozmów. Czasem też martwią się ludziska jak to będzie wyglądać pod nowym „regime'em"...

Na to ktoś pociesza:

„Niech się pan nie boi — panie Wincenty! Przebyliśmy tę „małą" dyktatorską, dajemy sobie jakoś radę z „wielką" suwerenną — to będzie nam nieźle i z oryginalną „carską"!...

PRZETWORY ROPNE.

Skreślenie podwyżki funduszu dyspozycyjnego M. S. Wojsk. wywarło w Sejmie wielkie wrażenie i rozliczne, czasem nawet bojaźliwe komentarze.

Słusznie jednak pocieszał jeden z posłów:

„Co się właściwie stało? O co chodzi? Skreśliliśmy fundusz, ale za to dostali prawie miljon gotówki na te tam przetwory ropne. A czy to nie to samo?..."

Kik.

Cena pranumeraty: rocznie zł. 12, kwart. zł, 3.50 mies. zł. 1.20

Ceny ogłoszeń: 1/1 str. 300 zł., 1/2 160 zł., 1/4 90 zł., 1/8 50 zł.; w tekście o 35% drożej

Adres Redakcji i Administracji; Warszawa, ul. Sienna 33, tel. 106-25 **Konto P K.O. 19.070**

Redaktor i wydawca **Wacław Dziekoński.** Druk. „ARS", Warszawa, Sienna 33, tel. 106-25.